

Od autora: Tym razem zapraszam Was do opowieści dość kameralnej, w której zamierzam nieco "zadreszczyć", cokolwiek by to nie znaczyło :)

Czy istnieje tzw. przypadek, czy jest to już przeznaczenie?

Kim jest człowiek w swoim prawie "wyborów"?

Refleksje mile widziane :)

Nadeszła jesień, pokrywając świat pajęczyną babiego lata i żółto-czerwonych liści, tańczących swój tańiec nieskończony. Dni stawały się coraz krótsze, ciemniejsze, pełne monotonii i szarości. Ranki witały gęstymi kłębami mgły, unoszącej się nad ulicami. Nagle umilkł śpiew ptaków, które uciekły w lepsze strony. Gdzieś przepadła letnia radość i zapach tysiąca kwiatów. Nostalgiczne podmuchy chłodnego wiatru nastrojały do refleksji i zadumy.

Gdzieś w środku października poczułeś się strasznie samotny.

Po raz pierwszy.

Żyjąc sam, nigdy tego nie odczuwałeś, postrzegając wszystko w jasnych barwach, czując się doskonale „we własnym sosie”, patrząc z zadowoleniem w lustro, którego nigdy nie zbiliś.

Nie potrzebowałeś towarzystwa za wszelką cenę.

Ceniłeś je, ale nie wyobrażałeś sobie, aby nie mieć chwili wytchnienia tylko dla siebie.

Należałeś do tych nielicznych, którzy nigdy nie nudzą się ze sobą, oddychając pełną piersią.

Nagle odniosłeś wrażenie, jakbyś zobaczył rzeczy od środka - maska opadła.

Nie miałeś pojęcia, że krępowała cię od lat, stając się z biegiem czasu twarzą.

Ta poza człowieka sukcesu o niezachwianej pewności siebie i wierze w swe możliwości, ta siła i dar rzucania świata na kolana, ta żelazna pewność, że tak już będzie wiecznie, bo przecież tobie należy się coś więcej niż innym przeciętniakom nie zmieniła życia w niebo na ziemi.

To przekonanie, zgubne w swym założeniu, nie mogło rzecz jasna daleko cię zaprowadzić.

I ten kres niby euforii nadszedł, bo nawet najgłębsze studnie kiedyś wysychają.

Wewnętrzny ogień powoli przygasał, zamieniając się w przeźroczystą ciszę bez nazwy.

Owładnęły cię nagle uczucia dotąd nieznane, drżące gdzieś w dalekich otchłaniach jaźni, tłumione, spychane do podświadomości - niby chwasty rosnące na dnie duszy, coraz bujniej wybijające ku górze.

Coś dławiło, niezdolnie dusiło, znenacka gniotło do niedawna radosną pierś nierealnym, przykro prawdziwym ciężarem. Coś podstępnie narastało, wysuwając bezcielesne macki coraz dalej i pewniej. Odczuwałeś iluminacje izolującego niepokoju, jak gdyby świat za oknem nieoczekiwanie tonął, nienazwane sekundy niby pierwotnego lęku przed nieznaną zmianą, która nie wiadomo co mogła przynieść.

Ni stąd, ni zowąd przyplątała się uciążliwa bezsenność – spałeś cztery godziny na dobę.

Z dnia na dzień przestałeś odzywać się do niedorzecznego świata, który, gdzieś tam, w kłbowisku szarych, bezimiennych rutyną małych, ludzkich spraw ulic dalej istniał, nucąc melodię codziennego rodzenia się i umierania.

Z nagle wyrosło osobliwe uczucie zapadania się w nienazwanym gąszczu minut i godzin.

Przedziwny, dopiero co odkryty nowy wymiar trwania – bezruch i zastój.

Osobliwe „spuchnięcie czasu”, przypominającego teraz zepsuty, tandetny zegar.

Twój własny głos wydawał się teraz ohydny, bezcielesny i odkształcony. Jawił się jako odrębny byt, niechciany, niewłasny, niejako narzucany z eteru w sposób, którego lepiej by nie poznawać.

Odbicie w lustrze dogłębnie irytowało, dawało poczucie nowej obcości, jakby tam patrzyła czyjaś niewidziana wcześniej twarz, oblicze ziemiste, niesympatyczne, byle jakie...

Ktoś, kogo nigdy nie chciałoby się spotkać, a jednak...

Chwile przytłaczającego natłoku myśli, poplątanych jak leśne chaszcze, przeplatane były absolutną pustką, zanikiem jakichkolwiek czynności intelektualnych, kiedy obok bezszelestnie uciekały kolejne dni i noce, niezapamiętane w swej nijakiej szarości.

Nawet pamięć płatała figle: pamiętałeś, co robiłeś dwadzieścia lat wcześniej, lecz wspomnienie tego, co było niedawno, nie dawało ci spokoju, bo go nie odnajdywałeś.

Na małym, pomarańczowym stoliku, przy łóżku miałeś kilka starych czasopism, jakąś zapomnianą książkę, długopis i zapalki. Czasem siadałeś na moment, niby zmęczony, niby wyczerpany, jakby odpoczywając po długich, bezowocnych marszach po mieszkaniu, kiedy to nerwowo paliłeś papierosa za papierosem i bezwiednie rysowałeś na gazetach.

Były to mało ważne gryzmoły, figury geometryczne, osobliwe twarze, kłbowiska linii i kresek. Czysty bezład. Absolutny brak konkretności. Zapętlone nicości. Co znaczyły lub znaczyć miały, trudno powiedzieć. Rysując nawet nie patrzyłeś na kartkę, robiłeś to jak gdyby mechanicznie, w jakimś tylko sobie wiadomym transie. Jakby jedna ręka paliła, a druga w tym czasie smarowała coś bezmyślnie w gazecie.

Ot, dziwactwo.

Natręctwo, jakich wiele, zwłaszcza gdy jesień całuje smutnym październikiem: wtedy to, co zakwitłoby radośnie lipcowego poranka, nie ma szans na „obleczenie się w ciało”.

Pewnego razu, w stanie lekkiego podniecenia, już chciałeś zmiędląć zabazgraną gazetę, lecz coś cię nagle tknęło - nie zrobiłeś tego.

Wyostrome spojrzenie powędrowało na zapisane strony.

Z niemalym zdziwieniem dostrzegłeś wśród morza bazgrołów cyfry, ciemne jak zagadka, napisane z ogromnym naciskiem.

Był to numer telefonu.

Zadrzałeś przejęty dziwnym uczuciem.

- Czemu to zrobiłem?

Natychmiast zacząłeś sprawdzać w swoim spisie ów numer, lecz bezskutecznie.

Nie było go tam.

- Czyj zatem był?

Teraz dopiero zaczęły się gorączkowe chodzenia od okna do okna, dziesiątki wypalonych do połowy pa-

pierosów i miliony myśli kłębiących się szaleńczo pod czaszką. Pojawiały się nagle teorie „czemu i dlaczego”, po chwili znikały jak poranna mgła, przychodziły kolejne tłumaczenia nie znajdujące żadnej logicznej odpowiedzi.

W mózgu wrzało jak w rozgrzanym tyglu, wszystkie komórki analizowały.
Walka z myślami była z góry przegrana, bo czasem już na starcie następuje upadek.
Brakowało choćby nikłego tropu, którym można byłoby podążyć.
Ten bolesny chaos drażnił i irytował, niepokoił i osobliwie przygnębiał.
Odpowiedzi mogło być miliony, od tych racjonalnych, po te z „tamtego brzegu”.
Ta wielość hipotez nie była niczym dobrym - nie poczułeś się bynajmniej pocieszony ani zadowolony, zawisłeś nad przepaścią, na dnie której mogłeś spodziewać się wszystkiego.

Wciąż niczym nocna zmora obsesyjnie prześladowały cię czarne numery wypisane jak niepokojący znak na gazecie – przedziwna kombinacja nieznanych ci cyfr...

Tknięty nagłym imperatywem, podjąłeś desperacką decyzję: zadzwonić.

Tylko wtedy wszystko się wyjaśni, bo czyż warto wierzyć w przypadek?
W to nędzne wytłumaczenie, jakim ludzkość raczy się w najlepsze od wieków?
Wahania zmarły śmiercią własną, bo czasem wahać się to wielokrotnie umierać.
Ochoczo chwyciłeś za telefon.

Po chwili w słuchawce odezwał się męski głos:

- Przyjdź jutro. Podaję adres - tu nieznajomy udzielił najważniejszych informacji. - Godzina szesnasta, bądź punktualnie.

Zapadła demoniczna cisza, jak pocałunek listopada wśród cmentarnych alejek.
Czułeś, że to nie jest zbieg okoliczności, to zdałoby się zbytnim uproszczeniem, miałym trywializmem, takie rzeczy dzieją się raz w życiu albo nigdy.
Jakaś myśl samotna wierciła, natarczywie i nachalnie, nie pozostawiając wątpliwości, że nic na tej ziemi nie dzieje się bez powodu, że skoro istnieje powód, musi być też i cel.
Tłukła się w czaszce jak zamknięty w klatce ptak.

Pomimo wewnętrznego sprzeciwu musiałeś tam iść, gdybyś tego nie uczynił, może żałowałbyś do końca życia chwili słabości i niezdecydowania, a wtedy sam zgotowałbyś sobie małe, prywatne piekło, do którego zamknięto drzwi, a klucz wyrzucono do rzeki.

Choć w głowie szalały złowrobnne myśli, szarpiąc duszę na strzępy, nie potrafiłeś oprzeć się tej pokusie, a może to było coś więcej? Podświadomie wyczuwałeś, że to okaże się tym, na co irracjonalnie czekałeś od tak dawna, trawiąc życie na niczym, wegetując w świecie fikcji i pustki, gdzie kolory były martwymi dźwiękami, a dźwięki barwami pełnymi szarości.

Tej nocy nie zasnąłeś – była to ostatnia noc, kiedy mógłbyś spać na ciebie zdrowy sen.
Bezsensowność otuliła cię niewidzialnym płaszczem, boleśnie otwierając oczy.
Na ścianie, na suficie, wszędzie widziałeś widmową twarz tajemniczego rozmówcy, wyobraźnia ruszyła do pracy, mózg gotował się od domysłów, a spokój, ten stary towarzysz, zniknął gdzieś bez śladu, bezszelnie pograżając się w niebycie.

Grały nerwy, biło przeraźliwie serce, ale gwałtowna, nieprzeparta chęć wypełnienia tego nakazu była silniejsza niż cokolwiek – za późno już było, by zawrócić z tej drogi.

Bo wchodząc na nią, nie miałeś już powrotu.

Heraklit powiedziałby ci o rzece, o tej jednej, jedynej.

Tuż przed szesnastą stanąłeś przed podanym adresem, nerwowo gasząc papierosa o ścianę.

Wysmarkałeś nos na podłogę, wytarłeś go chusteczką.

Raz jeszcze zebrałeś się w sobie i szybko odnalazłeś dzwonek.

Po krótkiej chwili dało się słyszeć kroki i drzwi otworzył starszy, siwy mężczyzna.

— Wejdz — powiedział matowym głosem. — Idź do pokoju i usiądź — słowa nieznajomego dochodziły jakby zza odległej ściany.

Usiadłeś.

Czułeś się, jak gdyby to wszystko było jeno sennym majakiem, groteskową chwilą halucynacji. „*To się wszystko nie dzieje...*” — pomyślałeś, wchodząc niepewnie.

Wiele w życiu przeżyłeś, ale to...

Rzecz absolutnie irracjonalna i niepojęta, jak sen, w którym śmierć jest narodzinami.

Nadal ciężko ci było uwierzyć, że tu jesteś, że za chwilę tajemnica przestanie być garścią słów, rzuconych lekko na wiatr, jak obietnica, za którą może być coś, a może nic.

Nie mogłeś opanować mimowolnego drżenia rąk.

Rozejrzałeś się po pokoju badawczym okiem.

Był wypełniony ogromną ilością czarno-białych fotografii ludzi o bardzo smutnych obliczach, o rysach zgasłych, wypłowiałych, z których zionęło coś na kształt pretensji do losu, zawieszonych w ramkach na ścianach. Były to wizerunki od bardzo starych, sięgających zeszłego stulecia, aż po zupełnie współczesne, jakby przed momentem zrobione. Zdjęcia wisiały na trzech ścianach pokoju, pokrywając je od podłogi do sufitu. Było w nich coś niesamowitego — wszystkie zostały zrobione od przodu i szerokimi oczyma tysięcy twarzy patrzyły bezosobowym wzrokiem w przestrzeń. Spojrzenia przepajała osobliwa i tajemnicza moc — oczy nieobecne, o odrealnionym, nieziemskim wyrazie, utkwione w martwym punkcie przypominały nieco medaliony cmentarne.

Odkrycie, które nastąpiło niebawem, nie należało do przyjemnych.

Z pewnym zaniepokojeniem dostrzegłeś nagle, że i twoje zdjęcie wisi wśród innych, gdzieś po środku ściany.

Ledwie udało ci się na nim rozpoznać, albowiem nie było to zdjęcie aktualne.

Pochodziło z przeszłości.

Miałeś na nim siwe włosy i wiele zmarszczek.

Wyglądałeś na kogoś, kto zdążył się już nieźle zestarzeć.

Czyżby sobowtór?

Charakterystyczny rowek w brodzie zdradzał właściciela.

Niestety to było TWOJE ZDJĘCIE.

Nie było sensu udawać, że jest inaczej.

Nie poczułeś się z tym najlepiej.

Nagle do pokoju wszedł nieznajomy.

- Kim jestem, nie ma znaczenia, tu przecież chodzi o ciebie... - rzekł starzec. - Mam ci coś do zakomunikowania. Wiem, że masz pewną szansę. Posłuchaj uważnie: to jest ostrzeżenie. Zapamiętaj każde słowo. *NA DRODZE SWEGO ŻYCIA UNIKAJ DOMÓW* - ciągnął zgaszonym głosem mężczyzna. - *Wtedy może przezwyciężysz mnie w sobie.* Zamieszkać na barce albo kup sobie dużą łódź kabinową. Możesz mieć niewielki statek. Kup bodaj używany. Wiem, że cię na to stać. Czasem w życiu trzeba postawić wszystko na jedną kartę. I zapomnieć o lęku. Zapomnieć o latach, które już nie wrócą. Nie wiedziałeś o tym? Innym to się udało. Ubity ląd nie dla ciebie, tu nigdy nie zaznasz spokoju. Zwróć się ku wodzie, idź za ciosem. Tylko wtedy... To ci chciałem dziś powiedzieć. Po to tu jesteś. Wcześniej czy później spotkaliśmy się. To pewne. To była jedynie kwestia czasu. Właściwego czasu. Świat jest bardzo mały.

- To nie może być prawda, to ... - stęknął ciężko jak ktoś, kogo przygnieciono granitową płytą. - Nie może. Dlaczego mi się to przytrafia? Co ja tu robię? Co to za słowa, może to czysty przypadek?

- Idź już. Rozmowa zakończona. Nie ma sensu jej przedłużać. Wszystko już wiesz. Wiem, że możesz jeszcze dokonać wyboru... - rzekł posępnie starzec, patrząc nieokreślonym, bezcielesnym wzrokiem na ponure fotografie wiszące na ścianach.

Spojrzałeś raz jeszcze smętnym wzrokiem na *osobliwe medaliony* i poczułeś, że robi ci się niedobrze – jakbyś spadał z niewiarygodną prędkością w głąb bezdennej studni, na powierzchnię której sam diabeł siedzi na złotym stolku i pokazuje ci środkowy palec.

Jakże wówczas zapragnąłeś, by ktoś rąbnął cię porządnie w łeb i wybudził z tej dusznej opresji, by krzyknął do ucha: „*To się nie dzieje naprawdę!*”

Na chwiejnych nogach, ogłuszony tajemnicą słów-zagadek, wychodziłeś po chwili z dziwaczного lokalu, odruchowo oglądając się za siebie. Poczułeś mroczną nierealność zaszłych zdarzeń - może to, co przed chwilą dane ci było przeżyć, to „przywidzenie”?

Przerażoną psychikę wypełniało uczucie dusznej grozy, dławiącej gardło, jakby sen zły jakiś wciągnął cię w swe podwoje i omamił, zatruwając duszę.

Droga do drzwi trwała wieki, a czas, ten przewrotny druh, stanął w miejscu, oniemiał.
Gdy dotarłeś do nich, odwróciłeś się, by pożegnać się, lecz za tobą nie było nikogo.

Zdjęty panicznym lękiem natychmiast zatrzasnąłeś drzwi i uciekłeś z przeklętego mieszkania.

Biegłeś długo jak obłąkany ulicami miasta, roztrzásając grupki wesołych dotąd ludzi, patrzących teraz na ciebie z przerażeniem. Byłe dalej, byłe jak najdalej. Ciągłe miałeś przed oczami ów demoniczny lokal, a w uszach bolesny dźwięk słów starca, niepojęty, wymykający się twojej logice, jakże irracjonalnie daleki od tego, czym oddychało wolne jestestwo.

W krótkim czasie sprzedałeś mieszkanie, bowiem leżało w atrakcyjnym miejscu, co niewątpliwie sprawiło, że było nie lada kąskiem. Jednocześnie upatrzyłeś sobie nowe lokum - wesołe, słoneczne, o spokojnym charakterze i ciekawym rozkładzie — trzy duże pokoje z kuchnią i łazienką, niedaleko cichego, szumiącego kojącą melodią drzew parku, gdzie mogłeś bez końca odbywać długie spacer, zapominając o tym, czego pamiętać nie chciałeś.

Jednak nie zagrzałeś tu długo miejsca: lęk przed „ostrzeżeniem” osobliwego człowieka popychał cię przez następne lata do ciągłych, nagłych wyprowadzek, a trwoga przed „nieznanym” zadomowiła się na dobre na dnie duszy jak chwast, co bujnie wyrósł wśród zbóż, niechciany, lecz obecny, z każdą kolejną próbą wyrwania, odrastający na nowo.

Mieszkałeś w tak wielu mieszkaniach, że nie sposób ich zliczyć, czasami kilka miesięcy, bywało, że kilka dni, czasami dłużej, w różnych częściach miasta, jednakże zawsze nadchodził ten dzień – dzień bolesnego odkrycia: trzeba zwijać manatki, dalej w drogę.

To spadało na ciebie jak grom z jasnego nieba.

Jak nakaz, bezwzględny, i w tej bezwzględności wymagający natychmiastowego wykonania.

Wiedziałeś, że czas nie gra na twoją korzyść, zatem musiałeś podejmować szybkie decyzje.

Zwłoka mogła wszak wiele kosztować, może i „ceny” lepiej nie znać? Pewnie to wiedza zupełnie niepotrzebna, szkodliwa wręcz, jak pryszcz na tyłku, więc tych drzwi nie trzeba było otwierać, to oczywiste.

I trwał tak exodus, i nic nie mogło tego powstrzymać.

Od drzwi do drzwi, od ucieczki do ucieczki.

I tylko poranne przebudzenia z lękiem w umyśle znaczyły ten szlak.

Gdzieś obok gasły lata, podobne do siebie, bliźniacze.

Lecz pewnego, wiosennego popołudnia, nie wiedzieć skąd, przyplątało się do ciebie wyraziste wspomnienie tamtego spotkania, jakże niezapomnianego poprzez swoją niezwykłość.

Niby odległy dzwon zabiło w duszy, wywołując ponownie niespokojny dreszcz.

Minęło tyle lat...

Ileż to zim, ile wiosen?

Ile piątków i poniedziałków?

Żyłeś we względnym spokoju zjawisk utartych i powtarzalnych, niezmuszony ani razu do fatalnych przepraw.

A jednak...

Z otchłani jestestwa wylaniała się jedna, konkretna myśl, nieznająca sprzeciwu: trzeba odnaleźć tego człowieka i jeszcze raz odbyć rozmowę.

Może to wszystko była nieprawda?

Może starzec zakpił sobie lub najzwyczajniej pomylił się?

Może chciał celowo zmienić twoje życie w koszmar?

Ale po co, jaki miałby w tym cel?

Pewnych rzeczy nigdy nie zapomniałeś.

Był to adres i telefon dziwnego rozmówcy.

Teraz nadszedł czas, by iść tam znowu – bez względu na konsekwencje.

Ten imperatyw zawładnął tobą dogłębnie, już nie było miejsca na wycofanie się, nie teraz, kiedy chciałeś, by słowa stały się ciałem, by dano ci posmak prawdy, tej jedynej.

Wielokrotnie próbowałeś dodzwonić się, lecz telefon jak zaklęty uparcie milczał.

Nikt go nie odbierał, ani rano, ani wieczorem, jakby w przedziwnym mieszkaniu nikogo nie było, a może

„robiono ci na złość”, tego nijak już nie doszedłeś, bo jak?
Istniała i taka ewentualność, lecz czy aby należało jej wierzyć?

Pewnego dnia ubrałeś się, starannie ogoliłeś, zjadłeś śniadanie i ruszyłeś pod znany adres.
Chciałeś przejść się, by mieć dodatkowe minuty do rozmyślań, może już ostatnich w tej materii, bo nie miałeś cienia wątpliwości, że to dzieje się tylko ten jeden raz.
Pchany szalonym pragnieniem poznania prawdy, płynąłeś jakby ponad ulicą, niesiony energią oczekiwania na ujrzanie osobliwego domu, czułeś, że to realizacja tego, co musiało nastąpić, czego się nie uniknie, na co może czekano w „twojej sprawie” od lat.
Spacer wcale się nie dłużył, wręcz przeciwnie, miałeś ostatnią szansę, by „wejść w temat”, choć nie miałeś pojęcia, z czym przyjdzie ci się zmierzyć.

Nie wiadomo, kiedy wyrósł przed tobą ten znany, lecz w pamięci nieco już zatarty obraz — omszały dom, a raczej sypiąca się kamienica, mocno już podniszczona zębem czasu.
Bez wahania wszedłeś do środka. Na klatce minąłeś jakiegoś mężczyznę z dzieckiem. Piąłeś się po schodach w milczeniu czując, ile cię to jednak kosztuje. Serce biło jak młot, pot zrosił czoło, drżały dłonie. Krok po kroku zbliżał cię do rozwiązania, którego tak oczekiwałeś. Jeszcze tylko jedno piętro, kilkadziesiąt sekund i... naciśnąłeś dzwonek.
Wstrzymałeś oddech.

— Dzień dobry — powiedziałaś z udawaną nonszalancją w głosie. — Czy mógłbym zamienić słowo ze starszym panem, który tu mieszka? Mam do niego sprawę. Nie widzieliśmy się ładnych parę lat. To dla mnie bardzo ważne. On musi się ze mną zobaczyć. Dawno temu, przed laty, miałem tu spotkanie z pewnym mężczyzną i stąd znam ten adres. Przecież nie mogłem sobie tego wymyślić, jakież w tym cel? Rozmawialiśmy o bardzo ważnych dla mnie kwestiach. Życiowych, że się tak wyrażę. Potrzebna mi jego pomoc, dziś, zaraz, rozumie pani?

Kobieta popatrzyła na ciebie z głębokim zdziwieniem, i po chwili beznamiętnie rzekła:
— Pan chyba pomylił adres. Na pewno. Tu nigdy nie mieszkał nikt poza naszą rodziną, żaden starszy pan. Tylko ja i mąż, i teraz ona. Wiem, co mówię — tu kobieta wskazała na dziecko pełzające po dywanie.
— Ale może przed państwem, wiele lat temu? — nalegałeś, instynktownie czując, że grasz w z góry przegraną grę. — Ja tu z nim... Minęło ich tyle, a teraz... Nie mogę odejść stąd z pustymi rękoma. Czy pani wie, że...
— Przedtem mieszkała tu moja babcia — kobieta nie była w nastroju do rozmów z dziwnymi nieznajomymi. — Nikt inny, proszę pana, żaden mężczyzna. Czy pan mnie rozumie? Do widzenia. To bez sensu. Nie wiem, co mam powiedzieć. Przykro mi, ale nie mam czasu na jałowe dyskusje — to mówiąc, zamknęła bezceremonialnie drzwi.

Tak zakończyła się ta krótka, bezproduktywna rozmowa.
Nie tego się spodziewałeś, nie tego w duchu oczekiwałeś.
Inaczej to sobie wyobrażałeś, ale życie to cwany gracz, który gra w pokera pięcioma asami.
Potem nie wiesz, gdzie byłeś, z kim grałeś, i jak się nazywasz.

W niemałym szoku opuszczałeś dziwny dom, tak samo osobliwy dziś, jak i wtedy, kiedy byłeś w nim ostatni raz. Chwiejnym krokiem zszedłeś na dół i powlokłeś się jak zamroczony w jakimś kierunku, byle iść. Rozdygotany mózg nie ogarniał na razie niczego, nie wiedząc jeszcze, jaki werdykt wydać. Nie spo-

sób było pozbierać myśli. Za wcześniej, za ciężko.

Zbyt niesamowite było to odkrycie. Znów w stalowych szponach, ale czego tym razem? Tragiczna ciekawość?

Znów powrót do korzeni...

Jakoś dotarłeś do domu i ciężko padłeś na łóżko: po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zasnąłeś snem długim i głębokim, organizm upomniął się o swoje prawa.

Ranek powitał cię jasnym słońcem, wdzierającym się radośnie do mieszkania każdą szparą, niczym posłannik dobrej nowiny. Noc nie przyniosła żadnych rozwiązań, pozbawiona sennych widziadeł, więc niechętnie zwlokłeś się z łóżka i zacząłeś przygotowywać śniadanie. Zapaliłeś papierosa, wyjrzałeś przez okno, a tam ten sam znany na pamięć świat pchał swój wózek w bliżej nieznanym kierunku, wprawiany w ruch siłą osobliwych przeznaczeń.

Toczył się nadal tak samo, nieśpiesznie, z tą samą rutyną, niezmienną, jak pory roku, opowiadając, co rano tą samą historię. Ludzie szli lub pędzili, lub wolno stawiali kroki na tym samym wcale niezmiennym chodniku — szli, jak gdyby nic się nie stało, nic nie wydarzyło.

Tyle lat, tyle zmarnowanych lat i ten sam mrok tajemnicy.

Nie miałeś wyboru, musiałeś żyć dalej. Obarczony ciężarami tajemnic, zanurzając się w gęstym mroku zagadek i dwuznaczności, życie musiałeś ciągnąć pomimo wszystko, starając się jakoś wyprzeć ze świadomości rzeczy minione. Nie potrzebowałeś przechowywać ich w pamięci. Marzyłeś o nagłej amnezji, która zabrałaby to, co wydarzyło się dotychczas.

Nic się nie zmieniło z wyjątkiem jednej rzeczy...

Zacząłeś siwieć, nagle, nieoczekiwanie z dnia na dzień.

Srebrne pasma stawały się coraz bardziej widoczne, zwłaszcza na skroniach, pokrywając pajęczą nicią stopniowo resztę czarnych dotąd włosów. Osobliwe, co by nie mówić.

Uznałeś to za rzecz niecodzienną, ale z drugiej strony może nadszedł już na to czas?

Młodszy znajomi zaczęli siwieć wcześniej, więc może i ty powinienes?

Z tym można żyć, byłeś przecież mężczyzną już niepierwszej młodości.

W lustrze dostrzegłeś także, iż twarz pokrywają liczne, głębokie zmarszczki.

Tak wyraźne jak nacięcia nożem na świeżej desce, świadczyły o upływie czasu.

Jak do tej pory mogłeś ich nie dostrzegać, przecież nie powstały w jedną noc?

Były faktem, pewnie od dawna, zapewne zbyt dobrze się sobie nie przyglądałeś, przyzwyczajony do własnego oblicza, nieczekający na istotne zmiany wyglądu, mając w myślach inne, ważniejsze sprawy, zaprzatające uwagę od lat.

Pewnego poranka, przy pierwszej kawie, pojąłeś sens rzeczy...

Było to jak uderzenie pioruna: nastąpiło nowe.

Spłynęło z promieniami słońca.

— Skoro dziwny starzec nigdy nie istniał, nie jest też, i nigdy nie było prawdą, co mi wtedy powiedział. Jak mogłem być tak ślepy? — krzyknąłeś, uderzając się w czoło. — Czysta logika. Bez dwóch zdań, jasne jak słońce. Wystarczyło trochę pomyśleć, zastanowić się, ruszyć rozumem! Myślenie zawsze ma

przyszłość, taka mała analiza i... po kłopotcie. To kosmiczna bzdura na resorach, moje urojenie, lęk, który z czasem wszedł mi do głowy i serca.

A może to był tylko sen, który pomylił mi się z rzeczywistością? Nie powiem, nie wiem, dziwna rzecz, jak łapanie w dłoń wiatru – zawsze pustka.

Rzeczy zatem prezentowały się teraz w zgoła innych kolorach, jawiły się w innym wymiarze, nabrały nagle diametralnie odmiennego znaczenia i wydźwięku.

Sprawy zamajaczyły świeżym, zdrowym światłem, przeganiając w dal niedawne mroki.

Nareszcie...

Radości nie było końca.

Kula u nogi, tkwiąca tam uporczywie od lat, nagle odpadła, w ciągu kilku sekund urosły skrzydła, świat znów wykonał gest zaproszenia.

Teraz byłeś ponownie tym młodym człowiekiem, który tak kochał życie, a życie kochało ciebie, była to w tej chwili miłość wzajemna, silna i dopiero co wybuchła nowym, gwałtownym płomieniem.

Znów poczułeś to stare, zapomniane już uczucie, ech, kiedy to było — MIŁOŚĆ ŻYCIA, rozpierające lekką pierś szalonym okrzykiem zachwytu. Życie każdą chwilą, bo ona nigdy się już nie powtórzy, przemijając bezpowrotnie w wiekuistym trwaniu, życie każdym oddechem, spojrzeniem, gestem. Radością poranków przy kawie, magią wieczorów, gdy wokoło pachniała maciejka, śpiewem ptaków, czułością rosy na trawie, ciepłym językiem wiernego psa na policzku. Świtaniem w lesie, kiedy bujna przyroda raczyła koszem grzybów i słoikiem jagód, a popołudnie siatką dorodnych karasi, złowionych w pobliskim stawie. Papierosem wypalonym w drodze do domu, gdzieś, wśród łąk, po których kroczył samotny bocian. Jabłkiem zerwanym z drzewa sąsiada. Ciepłym deszczem, pieszczącym lipcem. Wygodnymi butami, w których można by iść na koniec świata. Kluczem otwierającym drzwi, jak nigdy przedtem. W końcu nocnym patrzeniem w gwiazdy, w oczekiwaniu, że któraś spadnie i spełni życzenia. A i one teraz upomniały się o swoje prawa, o to, by zaistnieć, bo tylko dzięki nim życie ma sens, i każda sekunda tej wędrówki oznaczać może osiągnięcie celu.

Czułeś teraz na nowo, jak to kiedyś było upoić się tą obłądną miłością do życia, zanurzyć się w jego bezdennych otchłaniach i krzyczeć z radości, że się żyje.

Tak, głośno, na całe gardło, aż do ochrypnięcia.

Wkrótce bez wątpienia przyjdzie czas na odmalowanie domu, decyzja zapadła.

Na jasno, na żółto, pomarańczowo, byle jasno, dasz radę, dasz siebie.

Wybiła godzina ostatecznej rozprawy z tym, co nie cieszy oka wesołą barwą.

Wszystko ma mieć rozpromienione kolory, wszak żyje się raz.

Jak słońce na niebie, jak światło w tym, co odpowiada za ludzkie szczęście.

To jak słoneczny, ciepły dzień, cieszący zapachem lata.

Nieziemska odmiana, upragniona metamorfoza, dryfowanie na błękitnych falach.

Jak wiosna po zimie, jak uśmiech po smutku.

Jak pocałunek słodkiej kochanki po latach samotności i łez.

Rewolucja kolorystyczna nadchodzi – nic już tego nie powstrzyma!

Dom ożyje, w końcu, i na dobre, bo radość kolorów winna pokryć smutek szarości.

Zmartwychwstaną ku nowemu życiu okna, drzwi, ściany i podwórze.

Wszystko zyska nową, radosną, promienną duszę.

Precz z brązem i niebieskim koszmarkiem – na śmietnik!
To już nikomu niepotrzebne, zbędny balast, oczu mitręzenie.

By czuć w sobie tę niewysłowioną radość, trzeba mieć pogodne obejście, mieszkanie pełne roześmianych barw, upojnych kwiatów, kojących oko obrazów impresjonistów, spokojnych, stonowanych sprzętów, drzemiących po kątach, nucących cichą melodię.

— Wróciłem! — krzyknąłeś wtedy na całe gardło tak, jak nigdy nie dane ci było krzyknąć. — Wróciłem na dobre! Zamykam stary okres, zamykam go na zawsze. A klucz wyrzucam do rzeki, a co tam, wolno mi. Nie pozwolę odebrać sobie tej wolności. Sprawy zaszły już za daleko, ja zaszedłem za daleko.

Nagle w przypływie tej kosmicznej radości, której przed samym sobą nie umiałeś zdefiniować, postanowiłeś wybiec na dwór i oznajmić całemu światu te cudowne wybawienie, niezwykle szczęście, swój powrót, co jawił się czystym cudem.

To nie mogło czekać, nie po tym wszystkim, przez co przeszedłeś.

Tym trzeba było podzielić się natychmiast z bliźnimi.

Dać nagły upust niewyobrażalnemu szczęściu, bo tylko wówczas miało to jakiś sens.

Założyłeś naprędce tylko buty, zmieniłeś spodnie i pobiegłeś w kierunku drzwi.

Otworzyłeś je i szybkim ruchem klucza zamknąłeś.

Rozejrzałeś się wokoło – wszędzie spokój i cisza, cisza i spokój.

Nie tracąc cennego czasu, popędziłeś w dół po schodach, by jak najprędzej znaleźć się na ulicy.

Gdzieś między drugim a pierwszym piętrem, noga nieopatrznie nie trafiła na stopień i poślizgnąłeś się. Gwałtownie upadając, uderzyłeś tyłem głowy o kamienne stopnie.

Radosne jeszcze niedawno oczy zakryło białe bielmo śmierci.

23 grudnia 2015

stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 02.01.2016 14:14

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.